

Graham Masterton

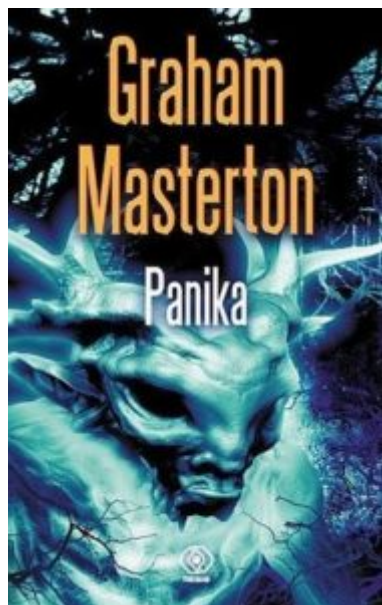
Panika



THE GEM

Niestrawny bigos ze starych klisz

Fahrenheit Crew



Autor: Graham Masterton

Tłum. Piotr Kuś

Tytuł: Panika

Wydawnictwo: Rebis, 2013

Stron: 336

Grahama Mastertona lubię. Darzę sentymentem jako autora jednej z dwóch książek, przy czytaniu których naprawdę się bałem. No, bałem to może za dużo powiedziane, ale czułem się nieswojo. Pamiętam jak dziś, kiedy w deszczowy, listopadowy wieczór zabrałem się za czytanie „Manitou”, rodzicielka zajrzała do mojego pokoju i powiedziała, że wychodzi. Machnąłem ręką, że ok. Zostałem sam. Pół godziny później bardzo stanowczo chciałem, żeby ktokolwiek z rodziny wrócił do domu. Podobne emocje, choć o mniejszym natężeniu, czułem przy czytaniu „Wyklętego”, „Rytuału” czy „Wojowników Nocy”. „Powrót Manitou” też nie był zły.

Emocje - tego chyba oczekuje się od horroru, nieprawdaż?

Jeżeli się ze mną zgadzacie, to „Panika” nie jest dla was. W zasadzie wszystko jest: i straszny potwór (właściwie potwory), i ten, który wie, o co idzie (syn bohatera), i jatki krwawe, i nawet wątek miłosny. Wszystko to, wrzucone do jednego gara, dać powinno przyzwoite, a przynajmniej strawne czytadło. Wyszła papka o smaku tektury.

Głównym bohaterem jest Jack Wallace, właściciel knajpy serwującej polskie żarcie. Polak z pochodzenia, choć gołąbki z nadzieniem z mięsa w sosie pomidorowym, z papryką i dużą ilością suszonych pomidorów, robione przez jego matkę, mnie zaskoczyły (ktoś takie coś jadł?). Później jednak okazuje się, że matka bohatera pochodzi z Ukrainy. Zastanawiające w takim razie, czemu bohater mówi tylko po angielsku i polsku? Ukraina zresztą błyskawicznie zniknęła z fabuły. Tak samo jak Słowacja, której mieszkańcy podobno uwielbiają mięso w sosie pomidorowym, za co miesza ich z

blotem Michaił (rdzennie polskie imię), szef kuchni we wspomnianej polskiej restauracji. O innej, jakże szeroko znanej, polskiej potrawie, czyli miksowanym chrzanie z grzybami, staram się zapomnieć. Akcja też przenosi się do Polski i pojawia się pracownik Służby Leśnej o imieniu Borys (Top Ten polskich imion), który jako psa tropiącego wykorzystuje rottweilera (rasa znana z uzdolnień w tym kierunku). Ten dziwny melanz krajów słowiańskich, imion i potraw skłania mnie do przypuszczenia, że po śmierci żony pisarza nikt nie zastąpił jej na stanowisku redaktora ds. polskich, więc autor - jak mógł - starał się, by czytelnik (Amerykanin) odniósł wrażenie ogólnie pojętej słowiańskości, bez dogłębnego wnikania co i jak...

Bohater ma syna - Sparky'ego; cierpi on na zespół Aspergera, w ten sposób autor tłumaczy obsesyjne zainteresowanie chłopca astrologią i dość łagodne reakcje ojca na dziwaczne i nieledwie tyrańskie zachowania potomka.

Reszta postaci jest jednowymiarowa. W zasadzie istnieją, by dać się zabić za parę stron, przez co dziwi osobliwa maniera dość dokładnego opisywania ich wyglądu. Dowiadujemy się, że zastępca szeryfa jest muskularny, zaś szeryf łysy i tłusty. Co z tego wynika? Ano nic. Za to o wyglądzie głównego bohatera nie wiemy wiele, możemy tylko domniemywać, że nie jest brzydszy od kwitu na węgiel, ponieważ ma powodzenie u kobiet. Z czego także nic nie wynika. Bohater wielbi swoją zmarłą małżonkę i nie amory mu w głowie - pytanie: po co zatem autor wprowadza takie wątki czy cechy protagonistów, skoro nie zamierza ich rozwijać i wykorzystywać fabularnie?

Emocji w tekście, jak już wspomniałem, jest niewiele. Akcja rażno biegnie od jednej jatki do drugiej, a ocalali bohaterowie przechodzą nad drastycznymi epizodami do porządku dziennego w sposób sugerujący, że zdarzyło się coś wagą i znaczeniem zbliżonego do rozerwania się torby z zakupami. Ot, przykrość.

Zakończenie rozczarowuje. Pomysł jako taki uważam za ciekawy, ale kompletnie nierozegrany. Autor do fantastyki dorzucił trochę standardowej ekologii w stylu: „Tłumaczyliśmy wam, dlaczego lasy są ważne i nie można ich wycinać”. Nie, to nieprawda. Nikt niczego nie tłumaczył, wyłącznie zabijano. Czego końcowa jatka koronna dowodem.

Akcja, jak nadmieniałem wcześniej, na jakiś czas przenosi się do Warszawy. Choć to może za dużo powiedziane. Przenosi się do apartamentu w Hotelu International w Warszawie oraz do Puszczy Kampinoskiej. Hotele pewnej klasy na całym świecie są dość podobne, tak samo jak i lasy pod tą samą długością geograficzną, więc autor uniknął ryzyka związanego z opisywaniem miasta i strzelenia jakiegoś byka. Za to najwyraźniej nie odróżnia Uniwersytetu Warszawskiego od Uniwersytetu Harvarda. Obie instytucje dość mocno różnią się zasobem gotówkowym i mam wrażenie, że UW nie zapłaciłby za pobyt w apartamencie w pięciogwiazdkowym hotelu dla jakiegoś Amerykańca tylko dlatego, że jedna z jego pracownic mocno się czymś dziwnym przestraszyła i zażądała obecności Amerykanina w Warszawie.

Tym razem połączenie znanych motywów z horrorów nie wyszło. Książka nuży, a czytelnik ma wrażenie, że przegląda stos starych klisz, którego autorowi nawet nie chciało się przyzwyciężyć przygotować. Pozostaje mieć nadzieję, że to jednorazowa wpadka.

Piotr Wojtunik